

Anioł Stróż. Opowiadanie sensybilistyczne.

Kazimierz Głaz *(Toronto, Kanada)*

Aniele boży strózu mój, Ty zawsze przy mnie stój. Rano
wieczór, we dnie, w nocy, przychodź zawsze do
pomocy. Aniele boży, strózu mój!



Kazimierz Głaz, Anioł Stróż, luty 2019 r.

Dawno, dawno temu, na pamiątkę Pierwszej Komunii dawano dzieciom obrazki. Były czarno-białe, czasami kolorowe i przedstawiały małego chłopca, który przechodził po drewnianej kładce nad wodą. Za nim szedł biały anioł z dużymi skrzydłami, podtrzymujący dziecko, żeby nie wpadło do wody. Dzisiaj dają w prezencie zegarki, rowery czy kłady, które zapewne nie działają tak silnie na wyobraźnię.

Mnie podobały się te obrazki, jak byłem dzieckiem, bo nigdy nie widziałem skrzydlatego człowieka. Huzarów na koniach widziało się tylko w książkach do historii. U nas w pobliżu domu był kanał, gdzie woda dochodziła do kolan, więc nie było obawy, że ktoś się utopi. Księża jednak uważali, że taki stróż-ochroniarz potrzebny jest na wszelki wypadek każdemu, kto zaczyna dorastać.

Tak też pewnie myśleli nasi rodzice, bo zamiast pilnować dzieci, oddawali je w ręce niewidzialnego pracownika społecznego bez umowy.

- Nie wchodź do wody, bo głęboka - mówili nieraz, ale nam było wszystko jedno, bo mieliśmy przecież naszego Anioła Stróża. Uwierzyłem i ja. Toteż przez długie, dobre lata, udawało mi się nie wpaść do tej wzburzonej wody.

Kładkę zamieniałem na samoloty, pociągi i autobusy, by objechać świat prawie dookoła bez szwanku, jak się to u nas mówiło. Anioły fruwały nad nami. Im jakoś łatwiej pewnie było w powietrzu niż na ziemi. Poza tym nikt na dobrą sprawę nie powiedział czy taki Stróż jest na kontrakcie i w jakim jest wieku. Czy Anioły się starzeją tak jak my i czy następca jest młodszy, czy starszy. Czy taki Anioł się czasem nie zagapi i nie straci kontroli na moment. Ten ważny Moment.



Kazimierz Głaz, Istota rzeczy, Elbląg, Centrum Sztuki Galeria EL, 2009 r.

Mój pewnie się zagapił, bo nic takiego w takim miejscu i w takim mieście nie powinno się wydarzyć. W tramwaju, w Toronto, w godzinach popołudnowych. Ale zdarzyło się. Wsiadłem. Tramwaj ruszył ostro, a ja upadłem na podłogę. Dobrzy ludzie pomogli, podnieśli, zapytali czy wszystko jest OK. Nie było. Dlatego pierwszej nocy w szpitalu u Świętego Michała przypomniałem sobie tamten obrazek z dzieciństwa.

Na pogotowiu szybko mnie przyjęli, wysłuchali, prześwietlili co trzeba i stwierdzili, że wszystko jest OK. Złamania nie ma. A więc

Anioł nie przegapił, zdążył jak widać w ostatniej chwili, kości są w całości. Trzeba jednak było zrobić dalsze badania, więc wysłali mnie na siódme piętro szpitala, mimo, że było późno i chciałem iść do domu.

Tutaj muszę wyrazić słowa najwyższego uznania dla kanadyjskiej służby zdrowia. Niby wszystko jest w porządku, ale na wszelki wypadek trzeba jeszcze raz sprawdzić. Do tego celu służą ośrodki rehabilitacyjne, tzw. *rehaby*.

Zwolniono się miejsce w niezbyt odległej dzielnicy Bridgepoint i podwieszono mnie tam karetką. Ośrodek nowy, zbudowany dopiero trzy lata temu, był wygodnym miejscem do ćwiczeń i odpoczynku. Pokoje dwusoobowe, przestronne sale gimnastyczne, a przede wszystkim sala z komputerem, gdzie byłem jedynym użytkownikiem, bo inni mieli swoje własne gadżeciki i telefoniki do kontaktowania się ze światem. A świat był rozległy, dla mnie też. Mój kanadyjski szwagier w Tokyo, moja rodzina w Polsce, znajomi w Europie i kilka osób w Toronto, co się ostali wbrew czasowi jaki upłynął przez 50 lat mojego pobytu w Kanadzie.



Kazimierz Gład, Motywy z Vence, Muzeum Witolda Gombrowicza, Wsola, Polska.

Pacjent w pokoju, do którego mnie wprowadzono przedstawił się. Ja też. Kazimierz, poprawiam na Kazimir, bo to „rz” trudne jest obcym do wymówienia. Zaciekawienie. Dodaję, że jestem z Polski.

- *Nice to meet you* - mówi uśmiechając się przyjaźnie - bo ja też jestem pół Polakiem.

- A ty mówisz zapewne po polsku - dodaje z nadzieją, że po paru tygodniach z obcymi, pogadamy sobie po swojemu.

- Moja mama była z Krakowa, a ojciec z Kijowa - kontynuuje - i oboje byli Żydami. Poznali się tutaj, w Toronto i musieli się uczyć nowego języka - dodał usprawiedliwiająco.

Był znakomitym kompanem i rozmówcą. Nieco młodszy ode mnie. Od dziecka interesował się sztuką. Chodził nawet na jakieś kursy wieczorowe, chciał być artystą, ale jego matka, ta z Krakowa, uważała, że to nie najlepszy zawód i nie przynosi pewnego dochodu. Skończył więc szkołę techniczną, ale sztuką interesuje się do dziś.

Podobnie jak moja ciotka, nauczycielka, zabraniała mojej mamie wyrazić zgody na takie studia, bo artyści dawniej żyli w biedzie, albo nie po katolicku.

Jesteśmy parę dni przed Wigilią. Cały czas słyszy się *Merry Christmas*. Dokoła pacjenci i odwiedzający. Ludzie są podnieceni.

W Wigilię, zaraz po południu przychodzą do mnie Lena i Oliwier, moi najmłodsi przyjaciele, wraz z ich ojcem Piotrem. Duża radość. Zostawiają mnie z opłatkiem w kopercie. *Merry, Merry* i Wesołych Świąt. Zostaję sam i z moim sąsiadem czekamy na wigilijną Wieczerzę. Przez dobrą chwilę zastanawiałem się jak w takim momencie postąpić. Czy jako Polak ze swoją tradycją domową łamania się opłatkiem z rodziną i znajomymi? A jak zachować się z ludźmi z innej religii, z Żydem na przykład, czy pominąć swoją tradycję milczeniem, żeby nie urazić jego obyczajów? Czasami o tym rozmawialiśmy.

Przynoszą kolację w ładnych naczyniach, stawiają na stolikach. Przed pierwszą łyżką zatrzymuję go. Wstaję, podchodzę do niego i mówię, że teraz, zgodnie z polską tradycją powinniśmy złożyć sobie życzenia. Podaję kawałek opłatka, wymawiając uroczyście życzenia, on łamie swój kawałek, wkładając do ust, też mi życząc zdrowia. Ściskamy sobie dłonie. I obaj czujemy się gotowi do Wieczery. Teraz odkrywamy, że mnie podali rybę, a jemu kotlet mięsny. Śmiejemy się, że administracja wiedziała o naszych tradycjach religijnych i obyczajach.

Merry Christmas, any way!!!

Toronto, styczeń 2019 r.



Kazimierz Głaz, Istota rzeczy, Kraków, Galeria – Krypta u Pijarów, 2010 r.

O Kazimierzu Głazie:

<http://www.cultureave.com/w-poszukiwaniu-piekna-kazimierz-glaz/>

Strona artysty:

<https://sites.google.com/site/kazimirglaz/>

Kazimierz Głaz (ur. 26 marca 1931 w Borkach Nizińskich) –

artysta malarz i prozaik. Reprezentuje kierunek w sztuce zwany sensybilizmem. Liczne wystawy zbiorowe i indywidualne w Kanadzie, we Francji, Niemczech i w Polsce; między innymi w galerii Zachęta w Warszawie, w Muzeum Narodowym we Wrocławiu i w Galerii El w Elblągu.

Laureat wielu nagród i wyróżnień; w 1965 roku na IV Międzynarodowym Biennale w Paryżu na wniosek Marca Chagalla otrzymał nagrodę Erasmus Prize z Holandii na pobyt i pracę twórczą we Francji. W 1972 r. otrzymuje jedną z głównych nagród i wyróżnienie w konkursie na grafikę /Edition One/ w Toronto. W 1985 r. nakładem Wydawnictwa Literackiego w Krakowie wydał książkę zawierającą wspomnienia o Witoldzie Gombrowiczu, którego poznał podczas pobytu w Vence, we Francji w latach sześćdziesiątych. Od 1968 r. mieszka i tworzy w Toronto w Kanadzie.

Najbardziej znane serie obrazów i grafik to: „Impresje Moskiewskie”, „Ujęcie III Exoteryczne”, „Istota rzeczy - The Essence”.

Wydaje książki bibliofilskie, wspiera młodych artystów kanadyjskich oraz tworzy pierwsze stałe kolekcje sztuki współczesnej w szkołach.

Studia: 1950 - 1956 Malarstwo monumentalne na Wydziale

Ceramiki i Szkła PWSSP we Wrocławiu; dyplom z malarstwa pod kierunkiem prof. Stanisława Dawskiego. W latach 1955-1958 mieszkał w Wałbrzychu, gdzie sformułował „Manifest sensybilistyczny i założył Niezależną Szopkę Sensybilistyczną. W 1957 r. wraz z Michałem Jędrzejewskim i grupą przyjaciół przygotował w Teatrze Kameralnym we Wrocławiu spektakl – akcję pt. „Sensybilism, czyli, nie wolno robić z publiczności balona”. Wydarzenie to traktowane jest, jako pierwszy happening w Polsce. W 1958 r. powrócił do Wrocławia. W 1962 r. uczestniczył w wycieczce do Moskwy i Leningradu. Dwutygodniowy pobyt w Rosji zapoczątkował jego nową serie obrazów wynikających z fascynacji sztuką bizantyjską, którą przetworzył na sztukę współczesną.

Za obrazy z cyklu „Impresje moskiewskie” pokazane w 1965 r. na Ogólnopolskiej Wystawie Młodego Malarstwa w Sopocie otrzymał jedną z głównych nagród oraz roczne stypendium twórcze Ministerstwa Kultury, jak również udział w IV Międzynarodowym Biennale Malarstwa w Paryżu. Zdobyte na Biennale nagrody Erasmus Prize przyznanej przez Marca Chagalla umożliwiło mu trzyletni pobyt we Francji.

W 1966 r. został zaproszony przez Michael Karolyi Fondation do Vence na Lazurowym Wybrzeżu. Tam poznał Marca Chagalla, Maxa Ernsta, J. Miro oraz Witolda Gombrowicza. Swoje wspomnienia ze spotkań z pisarzem przekazał w książce

„Gombrowicz w Vence” wydanej w jego opracowaniu w Toronto (1985) i w Krakowskim Wydawnictwie Literackim (1989).

Pod koniec 1968 r. wyjechał do Kanady i zamieszkał w Toronto. W 1969 r. zorganizował Toronto Center for Contemporary Art, które prowadzi do chwili obecnej. Wspólnie z artystami kanadyjskimi założył Community Art Collections sponsorowane przez Rząd Federalny. Artyści zatrudniani są na pensji pracując w swoich pracowniach i przekazują po kilka prac do stałych zbiorów sztuki w lokalnych szkołach.

Jego prace znajdują się dziś w stałych zbiorach w wielu muzeach krajowych i światowych jak m.in. Muzeum Sztuki Współczesnej w Tokyo, Metropolitan Museum w Nowym Yorku, w Barcelonie, w Sao Paulo, Dreźnie, w Paryżu, czy w zbiorach Watykanu.

W ostatnich latach kontynuuje swoje zainteresowania nad serią obrazów wielkoformatowych nazwanych „Istota rzeczy” oraz bierze udział w plenerach i spotkaniach artystów posługujących się językiem geometrii, organizowanych w Orońsku i Radziejowicach.

„Ojczyzny się
nie odwiedza,
do Ojczyzny się
wraca”. O Kazimierzu
Wierzyńskim
na emigracji.



Kazimierz Wierzyński. Londyn, 1928 r. fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe.

Beata Dorosz

Instytut Badań Literackich PAN (Warszawa)

Wybuch wojny zastał Kazimierza i Halinę Wierzyńskich w Warszawie. Wojna nie była dla poety zaskoczeniem: w wierszu *Wstążka z „Warszawianki”*, napisanym 27 sierpnia 1939, przejmująco brzmi fraza „Znów będzie wojna” i jedna ze strof:

Biją polskie zegary kurant po kurancie,

Naprawdę idzie pożar. Na ściany się wdrze

Gęstą łuną, co wszystko z tych murów pościera

Oprócz krwi zapisanej na waszej katedrze:

Że tym się tylko żyje, za co się umiera.

Dnia 6 września Wierzyńscy opuścili Warszawę. Szlak wojennego *exodusu* wiódł przez Zamość, Lwów, Śniatyn (gdzie przekroczyli granicę rumuńską), Ploeszti, Jugosławię i Włochy do Paryża, do którego dotarli w końcu października. W przewidywaniu klęski Francuzów Wierzyńscy w maju 1940 r. wyjechali najpierw do Biarritz, potem do Nicei, wreszcie wydostali się z okupowanej już przez hitlerowców Francji w sierpniu 1940 r. Pokonując trudności wizowe, hiszpańskie oraz portugalskie i brazylijskie, ostatecznie 13 października 1940 r. opuścili Europę, płynąc z Lizbony do Rio de Janeiro. Stosunkowo niewiele wiadomo o tym etapie biografii poety, choć zapewne aktywnie uczestniczył w życiu towarzysko-literackim i politycznym dość licznej tam wówczas grupy polskich emigrantów z Janem Lechonim i Julianem Tuwimem na czele.

Nowojorska historia Wierzyńskiego rozpoczyna się 2 czerwca 1941 r., kiedy poeta wraz z żoną przypłynął tu z Brazylii.

Znaczącym preludium była kilka miesięcy wcześniej akcja Haliny Rodzińskiej zbierania wśród przyjaciół i znajomych z Polonii amerykańskiej datków na ratowanie dwóch polskich artystów – Rafała Malczewskiego i Kazimierza Wierzyńskiego – wygnanych przez wojenną pożogę z Polski.

Po dziesięciu miesiącach spędzonych w Brazylii Wierzyński znalazł się w Nowym Jorku i od razu wtopił się w tutejszą emigracyjną społeczność. W 1942 r. powołano do życia Polski Instytut Naukowy (PIN) w Ameryce z siedzibą w Nowym Jorku, placówkę naukową utworzoną pod szyldem Polskiej Akademii Umiejętności, która miała umożliwić polskim uczonym i artystom działalność na emigracji w czasie wojny. Na uroczystości inauguracyjnej 15 maja 1942 r. Wierzyński wystąpił jako przedstawiciel Polskiej Akademii Literatury. Gdy w Instytucie powstała Komisja Historii Literatury Polskiej, jej przewodniczący, Wacław Lednicki, zaprosił też do niej Wierzyńskiego. Komisja zorganizowała na przełomie 1942/43 r. cykl odczytów o historii literatury polskiej, zamknięty 26 kwietnia 1943 r. wykładem Wierzyńskiego *Współczesna literatura polska na emigracji*.

Dalsze związki Wierzyńskiego z PIN były nie tylko formalne (poeta przez wiele lat był członkiem zarządu), czy towarzyskie (krąg jego przyjaciół w większości stanowili ludzie związani z Instytutem, będącym wówczas centrum życia naukowo-

artystycznego i towarzyskiego emigracji niepodległościowej). Ważne fakty z biografii artystycznej Wierzyńskiego wpisywały się też w działalność PIN, jak np. uroczysta promocja książki *The Life and Death of Chopin* połączona z inauguracją roku akademickiego 1949/50. W 1959 r. PIN był współwydawcą *Poezji zebranych* oraz współinicjatorem wydania tomu *Selected Poems* w przekładzie na język angielski (wyd. Voyagess Press). W czerwcu 1959 r. Wierzyńscy wyjechali na dłuższy czas do Europy, nie zrywając wszakże nowojorskich kontaktów.

Wielkie zaangażowanie Wierzyńskiego w sprawy PIN wywołała podróż jego ówczesnego dyrektora, Stanisława Strzetelskiego, jesienią 1960 r. do Polski. Odbył on szereg rozmów o współpracy z bibliotekami uniwersyteckimi (planując bibliotekę naukową w PIN) oraz podjął problem wstrzymywania wyjazdów stypendystów, którym Instytut przyznał stypendia naukowe na krótkie wyjazdy do Europy Zachodniej, co wymagało kontaktów z przedstawicielami Polskiej Akademii Nauk, uznawanej na emigracji za sterowaną przez reżim uzurpatorkę w zarządzaniu nauką polską. W konsekwencji w prasie emigracyjnej rozgorzała dyskusja na temat zadań PIN i metod ich realizacji oraz jego prestiżu naukowego i moralnego. Meritum stanowiły jednak zadania emigracji wobec kraju i jej odpowiedzialności za rozwój nauki, kultury i sztuki, firmowanej przez placówki działające w Polsce.



Kazimierz Wierzyński, fot. alchetron.com

Wielce zaniepokojony Wierzyński w Montgeron pod Paryżem prosił Strzetelskiego o wyjaśnienia; nadeszły w liście z 11 stycznia:

Kochany Kaziu! [...] W istocie swej spór toczy się o charakter Instytutu. Czy Instytut ma być jedną z wielu organizacji emigracyjnych, czysto werbalnych i „niezłomnych” w

nieróbstwie, czy ma pozostać instytucją kulturalno-naukową, pracującą konkretnie dla jedynej dziś realnej formy walki o niepodległość, to znaczy walki o utrzymanie zachodniego charakteru kultury polskiej. Dokoła tej zasadniczej sprawy nagromadziła się masa najrozmaitszych drobnych spraw, motywów i ambicji. Najważniejszą z tych spraw to śmiertelny grzech Instytutu, który ośmielił się przerwać front patriotycznego pasywizmu i rozwijając się i odnosząc sukces, zmobilizował przeciwko sobie wszelkiego rodzaju zawiści, strojące się w maski patriotycznej troski.

Wierzyński w odpowiedzi jednoznacznie określał swoje stanowisko (16 stycznia):

Kochany Stasiu! [...] Uważam, że jeśli emigracja nie będzie utrzymywała związku z krajem, pozostaje jej tylko jedna droga - w orszaku pogrzebowym na cmentarz - oraz deklarował: Jeśli kryzys w Instytucie będzie się ślimaczył i przewlekał, czy nie mógłbyś sprokurować dla mnie biletu lotniczego aller et retour, bym mógł wpaść do N.Y. choćby na kilka dni?

Strzetelski nadsyłał dodatkowe wyjaśnienia (25 stycznia):

Trudność załatwienia sporu jest nie merytorycznej lecz psychologicznej natury, ponieważ merytorycznie rację mają obie strony. Nie ulega wątpliwości, że na froncie politycznym potrzebna jest rygorystyczna niezłomność polityki emigracyjnej, tak jak na odcinku kulturalnym niezbędne jest utrzymanie akcji pomocy dostarczania niezbędnej amunicji kulturalnej Krajowi, pomocy, która, jeśli ma się rozwijać, nie narażając naszych przyjaciół w Kraju – nie może obyć się bez kontaktów z organizacjami naukowymi w Polsce. W gronie dojrzałych i odpowiedzialnych osób łatwo byłoby załatwić całą sprawę we właściwy sposób i podzielić funkcje. [...] Oto dlaczego Twój przyjazd jest tak ważny.

Zapewne dlatego Wierzyński bawił krótko w Nowym Jorku na przełomie lutego i marca 1961 r., kiedy zarząd PIN przyjął uchwałę,

że w obecnej sytuacji światowej kontynuowanie pomocy kulturalnej dla narodu polskiego oraz wymiany kulturalnej [...] byłoby z korzyścią dla narodu polskiego, dla Polonii Amerykańskiej, jako też dla Ameryki i całego wolnego świata

oraz uznał potrzebę powołania osobnej instytucji do spraw

pomocy kulturalnej dla Kraju. (Była nią Fundacja Wandy Roehr, której prowadzenie objął jesienią 1961 r. Strzetelski).

Nieoczekiwanie zaatakował Mieczysław Grydzewski, stary przyjaciel i redaktor londyńskich „Wiadomości”, w nocie *Instytut na zakręcie* (1961 nr 11), której sedno tkwiło w zdaniu:

Kontakt z Krajem jest rzeczą piękną, ale nie symbioza z czynnikami oficjalnymi.

Sporowokowany Wierzyński ponownie wyraził zdecydowane stanowisko (11 marca):

Drogi Mietku! Protestuję jak najkategoryczniej przeciw Twojej notatce o Instytucie Naukowym [...]. Jest ona oparta na nieznajomości rzeczy i na demagogii. Szkodzi sprawie pomocy Polsce i szkodzi emigracji, bo bez związku z Polską emigracja traci sens istnienia. [...] Komunistów jest w Polsce tyle, co kot napłakał, a nawet i ci po roku pobytu na Zachodzie wracają z przetrąconym kręgosłupem marksistowskim albo wręcz wrogo nastawieni [...]. W Polsce nie ma miejsca na żadne podziemie kulturalne. [...] Nie widzę dziś innej możliwości walki o polskość niż zachowanie jej ducha i związku z Zachodem. Zachód to emancypacja

spod wpływu Rosji, zachowanie tradycji, kierunek rozwoju. Tak myślą ludzie z Polski, stąd taki pęd za granicę i dlatego oczekiwanie pomocy od emigracji. [...] Piętnuję [...] nietaktowne i obraźliwe porównania i aluzje polityczne zawarte w notatce [...]. Dotyczą one ludzi pracujących w Instytucie, wśród których dostateczną gwarancję polskości dają: Korboński,[...] Lednicki [...] i Strzetelski. Podzielając ich stanowisko, muszę zaliczyć także i siebie do tak wyróżnionych przez „Wiadomości”. Nie mam innego sposobu protestu przeciw temu, niż wycofać się ze współpracy w Twoim piśmie [...].

(W istocie nie nastąpiło całkowite zerwanie Wierzyńskiego z londyńskim tygodnikiem, a blisko dwuletnia separacja: do końca 1962 r. nie pojawił się tam żaden jego tekst).

Wyznając niezmiennie wyrażoną kiedyś zasadę, że „ojczyzny się nie odwiedza, do ojczyzny się wraca”, utrzymywał Wierzyński stałe kontakty korespondencyjne z pisarzami w Polsce, m.in. Janem Paradowskim i Marią Dąbrowską. Raz wszakże, by wziąć udział w pogrzebie autorki *Nocy i dni* w maju 1965 r., zwrócił się do władz PRL o wizę, której mu odmówiono. Krytykowany w niektórych kręgach, że „zerka w kierunku Warszawy”, stanowczo ripostował: „Ależ ja nigdy ani przez chwilę nie odwróciłem wzroku od Warszawy”.

Gdy zaś w 1967 r. była mowa o wieczorze autorskim w Polsce, w liście do Marii Dłuskiej, znawczyni jego twórczości, konstatował:

Zaproszenie jest zaszczytne i ujmujące, nie może jednak zmienić w niczym mojej postawy i planów. [...] Na żadne zaproszenie nie czekam, żadnego zaproszenia mi nie potrzeba i kiedy przyjadę – a myślę, że przyjadę kiedyś – zrobię to bez ostentacji i w dyskrecji, bo będzie to doświadczenie najważniejsze w moim życiu.

Wrócił nie tak, jak pragnął. Zmarł 13 lutego 1969 r. w Londynie; zgodnie z wolą wdowy jego prochy złożono 15 kwietnia 1978 r. na warszawskich Powązkach. Nawet i taki powrót wywołał kontrowersje wśród rozpolitykowanej emigracji niepodległościowej, która, jak zawsze, miała różne zdania.

Artykuł ukazał się w „Przeglądzie Polskim”, 12 czerwca 2009 r.

Z okazji 50-tej rocznicy śmierci Kazimierza Wierzyńskiego, 16 lutego 2019 r. w Sali Teatralnej POSK w Londynie odbędzie się konferencja naukowa zorganizowana przez Polski Uniwersytet na Obczyźnie wraz z Instytutem Badań Literackich PAN.

Instytut Kultury Europejskiej Polskiego Uniwersytetu na Obczyźnie w Londynie
oraz Instytut Badań Literackich Polskiej Akademii Nauk w Warszawie
serdecznie zapraszają na międzynarodową konferencję naukową



16 lutego 2019 r.
godz. 10.00–18.00
Sala Teatralna
POSK
238-246 King Street
Londyn, W6 0RF
Wstęp wolny

**„Chcę wrócić, jak emigrant, z podróży dalekiej,
Z papieru, z martwych liter, żywy, do twych rąk.”
Życie i twórczość Kazimierza Wierzyńskiego
(1894-1969) w 50. rocznicę śmierci Poety**

Wydarzenia towarzyszące:
godz. 18.00 – Wystawa
Archiwum Kazimierza
Wierzyńskiego
Biblioteka Polska POSK

godz. 19.00 – Recital poetycko-muzyczny
oparty na poezji Kazimierza Wierzyńskiego
„Wejdz w mój sen” w wykonaniu artystów
Sceny Polskiej UK w POSK-u
Reżyseria Helena Kaut-Howson



PUNO

Rejestracja: eventbrite:
<https://bit.ly/2W2OiqF>
albo w dniu konferencji
od godz. 9.30



PROGRAM KONFERENCJI:

Życie i twórczość Kazimierza Wierzyńskiego (1894 – 1969)
Międzynarodowa konferencja naukowa w 50. rocznicę śmierci Poety

„Chcę wrócić, jak emigrant, z podróży dalekiej,
Z papieru, z martwych liter, żywy, do twych rąk.”



Współorganizatorzy:
Instytut Badań Literackich
Polskiej Akademii Nauk IBL PAN
oraz Polski Uniwersytet na Obczyźnie PUNO

Program konferencji

09.30–10.00 Rejestracja

10.00–10.10 Otwarcie konferencji

Powitanie – PUNO, Londyn

10.10–10.20

Słowo od organizatorów – IBL PAN, Warszawa

Sesja pierwsza: 10.20–11.40

Moderator: Dr hab. Beata Dorosz (IBL PAN)

10.20–10.50 **Prof. dr hab. Wojciech Ligeza (Uniwersytet Jagielloński)**

„I zaczę się znowu”. O przemianach poezji Kazimierza Wierzyńskiego i sposobach jej odbioru

10.50–11.10 **Prof. dr hab. Rafał Habielski (Uniwersytet Warszawski)**

Kazimierz Wierzyński i polityka

11.10–11.30 **Prof. dr hab. Jolanta Chwastyk-Kowalczyk (Uniwersytet Jana**

Kochanowskiego, Kielce – PUNO, Londyn)

Echa twórczości Kazimierza Wierzyńskiego w prasie emigracyjnej

11.30–11.40 **Regina Wasiak-Taylor (Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie, Londyn)**

Kazimierz Wierzyński i Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie w Londynie (komunikat)

11.40–12.00 Przerwa na kawę

Sesja druga: 12.00–13.20

Moderator: Prof. dr hab. Teresa Dobrzyńska (IBL PAN)

12.00–12.20 **Dr Nina Taylor-Terlecka (Oxford University)**

Kazimierz Wierzyński – przyjacielem

12.20–12.40 **Dr hab. Beata Dorosz (IBL PAN)**

Kazimierz Wierzyński – (pó)intymnie. Próba szkicu do portretu

12.40–13.00 **Dr Katarzyna Zechenter (School of Slavonic and East European Studies, University College London)**

Kazimierz Wierzyński and the Art of Flâneur

13.00–13.20 Dr Ewa Lewandowska-Tarasiuk (Akademia Pedagogiki Specjalnej im.
Marii Grzegorzewskiej, Warszawa – PUNO, Londyn)
Muzyczne światy Kazimierza Wierzyńskiego

13.20–14.20 Lunch

Sesja trzecia: 14.20–15.40

Moderator: Prof. dr hab. Wojciech Ligęza (UJ)

14.20–14.40 Dr Charles S. Kraszewski (King's College, Wilkes-Barre, USA)
Kazimierz Wierzyński and Poetic Form

14.40–15.00 Dr hab. Jan Zieliński (Uniwersytet Kardynała Stefana Wyszyńskiego,
Warszawa)
Zegary i czas w twórczości Kazimierza Wierzyńskiego

15.00–15.20 Prof. dr hab. Teresa Dobrzyńska (IBL PAN, Warszawa)
*Poeta w czasie marnym. Zapis doświadczenia czasu w wierszach „Słyszę
czas” Kazimierza Wierzyńskiego i Cypriana Norwida „Tymczasem”*

15.20–15.40 Mgr Monika Anna Noga (Universität Freiburg, Szwajcaria)
Topos ogrodnika na przykładzie wiersza „Ogrodnicy”

15.40–16.00 Przerwa na kawę

Sesja czwarta: 16.00–17.00

Moderator: Dr hab. Jan Zieliński (UKSW)

16.00–16.20 Mgr Wojciech Klas (PUNO)

O archiwum Kazimierza Wierzyńskiego w Bibliotece Polskiej w Londynie

16.20–16.40 Mgr Jakub Osiński (Uniwersytet Mikołaja Kopernika, Toruń)

O dawnych i przyszłych edycjach utworów Kazimierza Wierzyńskiego

16.40–17.00 Mgr Agnieszka Kochańska, Mgr Paweł Rams, Dr Bartłomiej Szleszyński
(IBL PAN)

*O najważniejszych cechach cyfrowej edycji korespondencji Kazimierza
Wierzyńskiego i Jana Lechonia*

17.00–18.00 DYSKUSJA i Zamknięcie konferencji



Wydarzenia towarzyszące

- 18.00 Wystawa – Archiwum Kazimierza Wierzyńskiego w Bibliotece Polskiej POSK w Londynie
- 19.00 Recital poetycko-muzyczny oparty na poezji Kazimierza Wierzyńskiego, „Wejdz w mój sen” w wykonaniu artystów Sceny Polskiej UK w POSK-u, reżyseria Helena Kaut-Howson

Sponsorzy konferencji

The Hanna and Zdzisław Broncel Charitable Trust
The De Brzezine Lanckoroński Foundation
Polonia Aid Foundation Trust
M.B. Grabowski Fund
Polski Ośrodek Społeczno-Kulturalny



PUNO

Rejestracja: eventbrite:
<https://bit.ly/2W2OiqF>
albo w dniu konferencji
od godz. 9.30



Florian Śmieja o Kazimierzu Wierzyńskim:

<http://www.cultureave.com/najpierw-czlowiek-potem-artysta-kazimierz-wierzynski/>

Literackie odwiedziny



Janina Surynowa-Wyczółkowska, San Juan, Argentyna, 1974 r., fot. Archiwum Emigracji w Toruniu.

Florian Śmieja

Nasza wyprawa samochodowa do Kalifornii obciążyła licznik 16 tysiącami kilometrów, za to liznęliśmy Meksyk i miasto Tihuana, a także tuzin sławnych parków z Yellowstone na czele.

Pod San Francisco udało nam się odwiedzić dwu poetów: **Jana Kowalika** w San José oraz Jana Leszczę w Palo Alto. Znakomity bibliograf polskiej prasy emigracyjnej Jan Kowalik (1910-2001)

rodem ze śląskiego Skoczowa, tęsknił za rodzinnymi stronami i w swoich wierszach je sobie przybliżał. Wspomagała go wyobraźnia, bo kiedy patrzył na sąsiedni łańcuch gór Santa Cruz to widział łagodne góry Beskidu. Wspominał rodzime grzyby, brakowało mu jednak śpiewu skowronka, bo te ptaszki na tym kontynencie nie śpiewają. Dlatego jednym z jego pragnień została skarga

Żeby tak jeszcze

Kilka taktów skowronka



Jan Kowali, fot. Biblioteka Uniwersytecka KUL.

Z cieszyniakiem **Janem Leszczą** (1918-1992), który przeżył obóz koncentracyjny w Dachau, wybraliśmy się do niedalekiej biblioteki w Uniwersytecie Stanford obejrzeć kolekcję dokumentów złożonych przez Polaków po wyjściu z sowieckiego zesłania. Tamże pokazywano nam fotografię Lenina, którą posługiwała się policja szwajcarska, kiedy go inwigilowała.

Jednak najcieplej pamiętam kolibry na patio domu Leszczów uwijające się koło poideł z czerwonym nektarem.

*

Choć zaglądałem do Meksyku póki żył **Jan Zych**, poleciałem do Wenezueli, by odwiedzić **Józefa Jennego** i wybrałem się do Kolumbii, by szukać śladów Gabriela Garcii Marqueza, nie zdążyłem zobaczyć Argentyny, by poznać **Janinę Surynową-Wyczółkowską** (1897-1985), aczkolwiek byłem pod wielkim urokiem jej późniejszych książek. Autorka osiadła pod Kordyleriami zbyt daleko od emigracyjnych ośrodków i choć cieszyła się mirom czytelników i poważaniem krytyków, nie zdołała przebić się na pierwsze strony, a w wolnej Polsce dziwnie nie znalazła zainteresowania, a tym bardziej wsparcia, a jej emigracyjne powieści nie doczekały się wznowienia w Polsce, gdzie by fascynowały czytelnika. Pisarka, warszawianka urzeczona swoim miastem i jego aurą, ostatnie dekady życia spędziła w obcej Argentynie. W wybornej trylogii ukazała zmaganie się polskiego dziedzictwa z argentyńskim otoczeniem, w opowieści o Grindze, Teresie, niespokojnej dziewczynie i jej gorzkim emigracyjnym losie. Wyszła ona za mąż za argentyńskiego Metysa.

Nasze dzieci odziedziczyły po ojcu ambicje narodowe. Szanuję to, ale walczę zajadle o moją ojczyznę-polszczyznę. Wprawdzie nie zasłużyłam sobie na to, aby się czuły dziećmi Polki, bo uciekłam z Kraju nie dla żadnych ideologii, kontrkomunizmów, czy w porywie wolności - tylko z osobistych względów.

Zapowiedziane drugie wydanie powieści na wychodźstwie nie doczekało się realizacji.



Janina Surynowa-Wyczółkowska, San Juan 1974 r., fot. Archiwum Emigracjiw Toruniu.

Krótkie wspomnienia i obserwacje Floriana Śmieji drukowane były w odcinkach jako „Migawki” w „Liście oceanicznym” –

dodatku do „Gazety” w Toronto, pod red. Joanny Sokołowskiej-Gwizdka, w latach 2003-2008, a potem znalazły się w zbiorze: Florian Śmieja, „Ślady światła”, SILCAN HOUSE, Mississauga 2013, opracowanie, redakcja, skład, projekt okładki Joanna Sokołowska-Gwizdka.

O Janie Kowaliku:

<http://www.cultureave.com/bibliograf-prasy-emigracyjnej-jan-kowalik-1910-2001/>

Dwuadresowi



Katarzyna Bzowska (*Londyn*)

My dwuadresowi
jeździmy pomieszkać do siebie.
Odwiedzamy przeszłość
myśląc co będzie?

Na rozdrożu już jesteśmy
samowolnie wygnani z dzieciństwa.

Jeździmy po stabilizację
zostawiając serca w kilometrach autostrad.

Zmęczeni podróżą wciąż tęsknimy
wszędzie obcy.

My dwuadresowi
tam i z powrotem jeździmy pomieszkać do siebie.

Wiersz ten napisała mieszkająca od lat w Niemczech Joanna Duda-Murowski. Jakże dobrze oddaje on stan, w którym znajduje się obecnie wielu Polaków. Nigdy u siebie. Na obczyźnie zawsze trochę obcy, w Polsce – już obcy.

Ta dwuadresowość nie jest niczym nowym. Przez lata była raczej zjawiskiem marginesowym. Gdy ktoś decydował się na emigrację lub był do niej zmuszony, jak miliony ludzi wysiedlonych po wojnie z terenów Polsce zabranych, wiedział, że jest to droga w jedną stronę. A jednak były osoby, którym nawet wtedy udawało się mieszkać w Polsce i za granicą.

Takim dwu-, a nawet wieloadresowcem był Zbigniew Herbert. Ten emigrant z ziemi lwowskiej, który wyemigrował wewnętrznie w latach stalinowskich, żyjący na marginesie głównego nurtu życia literackiego, przez wiele lat tułał się po Europie. Mieszkał w Austrii, Niemczech, Francji i USA, gdzie przez krótki czas

wykładał na jednym z uniwersytetów. Jednak nigdy do końca Polski nie opuścił. Wracał do niej, by znowu wyjeżdżać. A wyjeżdżał, bo ta Polska nie była „jego”. Uciekał, aby nie być „u siebie”, by tym samym móc być bardziej „u siebie”. Jednak zawsze wracał. W końcu wrócił na stałe.

Podobnie było z Czesławem Miłoszem. Też imigrantem z ziem zabranych, który nie potrafił znaleźć miejsca w świecie. Wybrał z dala od Polski w sposób bardziej zdecydowany niż Herbert, choć z zasiedziała, zwłaszcza nad Tamizą, emigrację nie miał łatwych stosunków. Oni potępiali go za to, że – jak wielu zresztą innych ludzi pióra (na przykład Julia Hartwig, czy Jerzy Zagórski) – tuż po wojnie zdecydowali się na pracę w PRL-owskich konsulatach. Krótki epizod tej współpracy części twórców wybaczone. Miłoszowi, który rozstał się z tą służbą w sposób spektakularny, część emigrantów nie wybaczyła nigdy. Sam poeta do tych trudnych stosunków dołożył zresztą rękę, a raczej pióro. Pod koniec życia on także wrócił do swojej ojczyzny-obczyzny. Zamieszkał w Krakowie, mieście, które ma w atmosferze coś przedwojennego, nie jest nowoczesnym konglomeratem jak Warszawa, gdzie prawie nie ma starych warszawiaków. W Krakowie czuje się historię.

Takimi dwuadresowcami było także małżeństwo Julia Hartwig i Artur Międzyrzeccy. Przez wiele lat prowadzili wykłady na uczelniach amerykańskich, ale zawsze traktowali ten swój

zagraniczny pobyt jako tymczasowy. Jakiś czas mieszkali w Paryżu. Nigdy nie zlikwidowali warszawskiego mieszkania. Przez krótki czas podnajmował je Zbigniew Herbert, gdy próbował znaleźć swoje miejsce.

Wszyscy wymienieni przeze mnie to poeci, widziani z różnych powodów, w różnych odsłonach polityczno-historycznych źle przez PRL-owskie władze. To ciekawe, że właśnie im wydawano paszporty, podczas gdy inni otrzymywali decyzje negatywne. Mam wrażenie, że władze chętnie się ich pozbywały, w nadziei, że ten „element niepewny”, oddziałujący negatywnie przede wszystkim na młodzież, która przychodziła tłumnie na poetyckie spotkania, wybierze zagraniczny adres.

Emigranci, którzy woleli mówić o sobie, że są uchodźcami, gdyż oni nie wyjechali, a zostali wywiezieni – do obozów lub na roboty w Niemczech, łagrów i kołchozów w Związku Sowieckim – nigdy nie wyemigrowali, a po prostu nie mieli dokąd wracać, żyli na obczyźnie Polską. Choć nie mieli drugiego określonego adresu, to była nim cała ojczyzna. Tyle tylko, że nie był to kraj prawdziwy, ten w jaki Polska zmieniła się, a kraj wyidealizowany, z ich wyobraźni, niewiele też mający wspólnego z tym, który opuścili.

Zmiany w Polsce, a później rozszerzenie Unii Europejskiej, gdy kontynent stał się otwarty dla wszystkich i by wyjechać nie

trzeba już było starać się o paszporty i wizy, sprawił, że dwuadresowość stała się zjawiskiem znacznie bardziej powszechnym. Decydowali o tym sami zainteresowani, bez uzależnienia swoich wyborów od takiego czy innego podejścia „panów z urzędu”. Dostępność polskiej telewizji, internetu, a także taniość połączeń telefonicznych sprawiły, że wielu Polaków mieszka i pracuje w Niemczech czy Wielkiej Brytanii mentalnie nie wyjeżdżając. Zresztą to też nie jest zjawisko nowe. Zofia Kucówna w jednej ze swoich książek opisuje wizytę u przyjaciół mieszkających w Jerozolimie. Oni żyli tym, co działo się nad Wisłą, choć nie wyjechali dobrowolnie, zostali do wyjazdu zmuszeni i wyruszyli w podróż z biletem w jedną stronę, bez prawa powrotu, a nawet prawa odwiedzenia Polski.

Zastanawiam się co będzie działo się, gdy Wielka Brytania opuści na dobre Unię Europejską? Ilu Polaków podejmie ostateczne decyzje, stanie się jednoadresowcem, zamieszka tu, albo tam? Ilu nadal utrzyma taki status, ale wybierze inny kraj europejski? A może wciąż uda się utrzymać obecną sytuację? Bo dwuadresowość to przede wszystkim stan ducha.

Napisałam ten tekst i włączyłam polską telewizję. Wiadomość, której obawiałam się od chwili, gdy nadeszła informacja o zamachu nożownika na Pawła Adamowicza, prezydenta Gdańska. Zmarł, nie przeżył zadanych mu ran. Uświadomiłam sobie, że dwuadresowość ma jeszcze jeden wymiar: jesteśmy narażeni na

dwa razy więcej emocjonalnego przeżywania tragedii niż ci, którzy mieszkają w jednym kraju. Zabójstwo Jo Cox było dla mnie tak samo tragicznym wydarzeniem, jak Adamowicza. Tragedię smoleńską odczułam równie boleśnie, jak zamach terrorystyczny 7 lipca 2007 r. w Londynie. I to jest też cena, jaką się płacę za dwuadresowość.

„Tydzien Polski”, Londyn

Grass i obieranie cebuli



Günter Grass, 2004 r., fot. wikiopedia.

Romuald Mieczkowski

Obieranie cebuli bywa zajęciem często przykrym, pędzącym łzy. Udział kogoś w formacjach nazistowskich SS, kogo tak cenili i honorowali Polacy, to szczególnie bolesny dla nich cios. Dla Niemców też to bolesny przyczynek w ocenie zasad moralnych swoich elit. Choć mimo wszystko – jak to w życiu bywa – z perspektywy czasu wytłumaczalny, choćby lojalnością wobec swojej ojczyzny, mimo paskudnej formy służbie tejże ojczyźnie.

Nie wchodźmy w jałowe rozważania na temat: dlaczego na to wyznaczenie Günter Grass (autor m.in. „Blaszanego bębenka”, red.) aż tyle lat czekał? – dziś, kiedy skandale zapewniają sukcesy komercyjne, niektórzy do nich wszak dążą. Ale pisarza, laureata Nagrody Nobla, niezłomnego bojownika o demokrację, niebywały sukces wydawniczy, chyba mniej cieszy. Tym bardziej, że do biednych nie należy.

Sprawa była bardzo szeroko komentowana w Polsce. Na Litwie – mniej, ale też nie pozostała bez echa. Wypowiedział się w tej kwestii w *Komentarzu pisarza* dla stacji radiowej „Žinių radijas” („Radio wiadomości”) m.in. Valdas Kukulius. Przy okazji dostało się Wałęsie, za to, że nie poda ręki Grassowi, a którego to podczas pobytu w Wilnie *mania wielkości wszystkim pozostawiła największy psychologiczny osad* – stwierdził dziennikarz. Tymczasem wszyscy, którzy widzieli Grassa, zachowają go w swej najświatlejszej pamięci.

Wałęsie, „narodowemu populiście” – rozważał dalej dziennikarz – daleko do intelektualisty światowej skali, dlatego był pewien, że noblista w tej trudnej sytuacji obdarzony jest wyrozumiałością.

Miałem okazję i ja rozmawiać w Wilnie z Grassesem, ujął on i mnie swoją sympatią. I jeszcze jednym, czego zapewne nie doświadczył pisarz-komentator: otóż mieliśmy to samo zdanie w ocenie sytuacji i roli mniejszości narodowych, jak też

spustoszenia, jakie przyniosła przymusowa migracja narodów, w ocenie losów – jak to niejednokrotnie mówił Grass wprost – „wypędzonych”. Nawet, pamiętam porównywał losy Gdańska do Wilna.

Ma rację Kukulas, że młodość jest częścią życiorysu, że mimo różnorodnych interpretacji (tu powołuje się na sytuację na Litwie w czasie rządów Antanasa Smetony, ale trudno zrozumieć, co ma na myśli), fakty pozostają faktami. No, i – od siebie dodam – oczywiście, owe fakty składają się na wizerunek osób publicznych, szczególnie jeśli chcą uchodzić za autorytety moralne.

Wzorem wielkiego pisarza, mniej znany pisarz litewski wspaniałomyślnie przyznaje się do jednego, wstydliwego faktu i ze swojej biografii, dając pouczający przykład z własnego dzieciństwa i wyciągając wnioski – otóż zdarzyło mu się kraść róże z „działki kolektywnej”, i to nie było z kim, tylko z milicjantem, który miał pilnować terenu. Ale po tym Kukulas w życiu więcej nie kradł...

Przykład może to i bardzo literacki – wszak bardziej przemawiają do nas święci, co to grzeszyli, szczególnie za młodu, a potem się nawrócili. Ale jakoś nie bardzo przemawia skala porównań ułomności. Dobrowolne wcielenie „się” do struktur faszystowskich odróżniać należy też od przymusowego. Prawda,

byli i tacy, którzy nie musząc robić coś dla swojej zagubionej ojczyzny, w odległych krajach, na ochotnika, brunatne mundury wkładali, a po latach, jak gdyby nigdy nic zostawali nierzadko owymi autorytetami moralnymi. Czyżby do nich kierował Kukulas swą konkluzję:

Dobrze by było doczekać tej godziny, kiedy i litewscy politycy, działacze kultury zdecydują się otwarcie powiedzieć, kim i gdzie byli w młodości?

Wypowiedź pisarza przeczytałem w komputerze. Opinie czytelników (miejscami bardzo naiwne, miejscami wręcz chamskie) świadczą, jak nieznany to na Litwie, w społeczeństwie – sięgającym Internetu i pewnie młodym – temat. Przykre, że przy okazji natarczywie powiela ono znane stereotypy wobec innych i w tej sytuacji „trzecich” nacji.

Günter Grass zmarł w 2015 r. (red.).

Wybory Miss Polonia w powojennym Londynie



Irena Anders, z domu Jarosewycz, pseudonim artystyczny Renata Bogdańska, 1960 r., fot. z archiwum Bohdana Nahajło,
źródło: day.kyiv.ua

Florian Śmieja

Zanim zacząłem swój sześcioletni staż jako wykładowca literatury hiszpańskiej na uniwersytecie angielskim w Nottingham (1963-1969), odwiedzając to miasto w środkowej Anglii zostałem niespodziewanie dokooptowany do grona jury, które miało wybrać Miss Polonię na imprezie organizowanej przez szereg lat przez "Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza" w Londynie. Zapamiętałem, że oprócz mnie wybierała jeszcze jakaś utytułowana angielska Lady, pani Generałowa Andersowa, czyli Renata Bogdańska oraz tajemniczy Slavomir Rawicz. Nie spisaliśmy się kolektywnie, bo wybraliśmy kandydatkę, która się okazała przyjezdną z Warszawy Mrs.

Choć znamy dziś daty Rawicza (1915-2004), to wiele wątpliwości związanych z jego życiorysem i słynną książką pozostało. Poznany w Anglii dziennikarz Ronald Downing wysłuchawszy opowieści o sensacyjnych losach Rawicza, napisał książkę "The Long Walk" czyli "Długi marsz", która wyszła w 1956 roku stając się rewelacją. Przełożono ją na 25 języków.

Rawicz twierdził, że urodził się pod Pińskiem jako syn polskiego właściciela majątku i matki, Rosjanki. W 1939 roku w randze oficera kawalerii polskiej aresztowali go Sowieci i skazali na 25 lat obozu w Irkucku. Stamtąd z sześciorgiem towarzyszy uciekł

on do Indii i po dziewięciu miesiącach, wyczerpana, pozostała przy życiu czwórka zbiegów dotarła do Nepalu. Potem Rawicz dostał się do Anglii, trzech pozostałych przepadło bez śladu.

Przyjęta z entuzjazmem książka wywołała wiele kontrowersji, z czasem zakwestionowano jej różne szczegóły, a potem autentyczność, w końcu Brytyjczycy przenieśli ją z działu autobiografii do działu fikcji.

Generałową Andersową miałem spotkać kilkadziesiąt lat później w Opolu. Przybyła wraz z ostatnim prezydentem rządu na emigracji, Ryszardem Kaczorowskim. Na uniwersytet przyszły tłumy głównie, by zobaczyć legendarną Renatę Bogdańską, która ciekawskich nie zawiodła, bo jej aparycja zrobiła wielkie wrażenie.

Krótkie wspomnienia i obserwacje Floriana Śmieji drukowane były w odcinkach jako „Migawki” w „Liście oceanicznym” – dodatku do „Gazety” w Toronto, pod red. Joanny Sokołowskiej-Gwizdka, w latach 2003-2008, a potem znalazły się w zbiorze: Florian Śmieja, „Ślady światła”, SILCAN HOUSE, Mississauga 2013, opracowanie, redakcja, skład, projekt okładki Joanna

Funkcje pieśni ludowych w utworach Pawła Łyska. Część II.



Władysław Skoczylas, Dziewczyna na łące, akwarela, 1913 r.

Edyta Korepta

Twórczość Pawła Łyska budzi autentyczne zainteresowanie w kontekście emigracyjnego regionalizmu. Jego utwory są „wielką monografią etnologiczno-etnograficzną i kulturową wspólnoty śląskiej, słowackiej i czeskiej na górskim pograniczu”[1].

Urodzony 27 sierpnia 1914 r. w Jaworzynce na Śląsku Cieszyńskim w rodzinie góralskiej, bratanek Jana Łyska, poety i dramatopisarza (1887 - 1915), zmarł 15 lipca w 1978 r. w Stanach Zjednoczonych pod Nowym Jorkiem,

pochowany został w Istebnej, koło Cieszyna.

Do rangi *sacrum* urastają pieśni religijne Pawła Łyska. Jest ich w jego tekstach stosunkowo niewiele; religijność autentyczna tkwiła bowiem w ludziach i nie wymagała nazywania. Pieśni religijne wyrażały często *credo* życia, ale wzmacniało je powołanie na tradycję, mimo iż całe ludzkie życie, wszelkie poczynania zależały od łaski Bożej, wyrażonej np. w pieśni

Z Bogiem, z bogiem każda sprawa

tak mawiali starzy.

Kiedy wezwiesz tej pomocy,

wszecko ci się darzy[2].

W formie pieśni wyrażane były również modlitwy, jak ta piękna apostrofa wygłoszona w czasie pogrzebu Juty Odcesty:

Witaj, Królowo nieba,

i matko litości;

witaj, nadziejo nasza

w smutku i żałości.

Orędowniczko nasza,

racz Swe litościwe

oczy spuścić na nasze

serca żarliwe**[3]**.

Religijność wyrażaną w pieśniach reprezentują zbiorowe wzorce zachowań społeczności lokalnej, mimo iż oddają bardzo subiektywne odczucia. Religia obejmowała świat człowieka od wewnątrz, jakąś świadomość nie do końca jednak uzewnętrznianą.



Władysław Skoczylas, Madonna karmiąca, drzeworyt kolorowany, 1923 r., Muzeum Sztuki w Łodzi.

Łysek zauważał również fakt, iż człowiek tworzy poezję, ponieważ musi bawić się społecznie[4]. W swych utworach poprzez pieśni ludowe wykreował ludyczny świat, w którym zaobserwować można nierozzerwalny związek poezji z tańcem. Autor prezentuje poezję głównie zrodzoną w trakcie zabawy. Przestrzenią, gdzie najczęściej spotykali się ludzie z różnych okazji, była karczma. Tam przy wtórze kapeli poszczególne tańce uzupełniano piosenkami przedstawiającymi stereotypowe obrazy w określonym porządku i według dobrowolnie przyjętych reguł, co wzmacniało społeczne więzi.

Pieśni były uzupełniane przez taniec, np. kozaka czy owięzioka, któremu towarzyszyły przyśpiewki humorystyczne wprowadzające poprzez swoisty pojedynek śpiewany odpowiedni nastrój do zabawy. W trakcie śpiewów i tańców w karczmie zauważyć można było jakieś odgródkowanie od codzienności, a wewnątrz tego świata toczyła się zabawa według reguł przyjętych przez tradycję. Zasady owe miały moc obowiązującą. Zauważył więc Łysek, iż pieśń ludowa wraz z muzyką i tańcem przenosiła ludzi w inny świat, stworzony jednak według przyjętych i utrwalonych tradycją zasad. Zabawa stanowiła cel sam w sobie, treść śpiewanych pieśni miała charakter eklektyczny, towarzyszyły im czasem uczucia napięcia, radości i świadomość odmienności takiej sytuacji od codziennego życia.

Pieśni w utworach Łyska oprócz wnikania w problemy egzystencjalne ludzi mieszkających na Śląsku Beskidzkim pełniły również określone funkcje artystyczne.

Zauważa się przede wszystkim, iż tekst poetycki żyje u Łyska w kontekście innego tekstu, tworząc razem pewne struktury narracyjne. Należą do nich dzieje zbójstwa na Śląsku Cieszyńskim silnie zmitologizowane i zabarwione subiektywnie[5]. Poszczególne akty przekazu owych dziejów tworzą ciągi łańcuchowe jak w przypadku relacji z obrzędów zaślubin, pogrzebu, skubania pierza, chrzcina, co zostało już zasygnalizowane wyżej. Z tą formą artystycznego przekazu wiąże

się synkretyzm gatunkowy; sama pieśń funkcjonowała rzadziej, towarzyszyły jej tańce i muzyka, co wynikało z faktu, iż zabawa stanowiła specyficzną formę działania, stawała się czynnikiem życia kulturalnego.

Pieśni związane z zabawą miały charakter antytetyczny; śpiew uprawiany był na zmianę, niekoniecznie miał charakter antagonistyczny, stwarzał jednak szczególne napięcie dramatyczne.

Ludyczny charakter pieśni bywał wzmacniany przez humor. Najczęściej przejawiał się w grze słownej powodującej odstępstwo od normy. Kpinie poddane są starsze kobiety zalecające się do młodych mężczyzn: „ale jo nie wiedzioł, czego ciotka chcieli”, a także mężczyźni, którzy odwlekają małżeństwo: „kupim jo se za to porządnego wieprza”, a ożeni się, gdy podrosną dzieci. Ideałem staje się „baba szyrokiego zadku, dobrego gatunku/ cobo nie pijała po gospodach trunku”. Humor wprowadzają często sytuacje erotyczne, wprowadzając niepodane wulgarnie, jednak z dość dosadnym słownictwem: „cosi prziszło ku mnie/ rijnciska to miało/ obłapiać się chciało”.



Władysław Skoczylas, Pochód zbójników, drzeworyt kolorowany, 1919 r., Muzeum Narodowe w Warszawie.

Najczęściej w pieśniach przytoczonych przez Łyska występuje humor sytuacyjny w formie niespodzianki, zaskoczenia, karykaturalnego wyolbrzymienia. Sytuacje, fragmenty akcji podane bywają często w żartobliwej formie. Ten typ humoru wynikał z narracyjnego charakteru wielu pieśni: „gajdoszu z gajdami/ smiłuj się nad nami/ jako się smiłował/ wilczek nad kozami”.

Łysek wyraźnie wyeksponował funkcję poezji w grze nieustannego przyciągania się i odpychania chłopców i

dziewcząt, w błyskotliwej wymianie śpiewanych często improwizowanych tekstów. Podkreślały one funkcję fatyczną ludowego tekstu poetyckiego.

W formie poetyckiej tych tekstów dużą rolę odgrywa *incipit* pieśni, który często zastępuje tytuł, bohatera, motyw. Najczęściej *incipit* lokalizuje akcję: „W tym naszym Istebnym pięknie, szumnie”, „U dunaju świyci jasne słónecka”, „Przez wodym koniczki, przez wodym”, „Gróniu mój, gróniu mój”.

Bardzo często jest on nacechowany przeciwnie do tekstu rozwijającego pieśń. Gdy wiersz literacki ma nacechowaną *pointę*, wiersz ludowy zawarty w tekstach Łyska – *incipit*. Z nim także związane są liczne powtórzenia, bardzo typowe dla poezji ludowej i są one nierozzerwalnie związane z tekstem. Nieliczne pieśni mają refren. Powtórzenie pozostaje w ścisłym związku z sakralną wizją świata[6] (gdzie święty znaczy mocny, rzeczywisty, niezmienny). Jest często stylistyczną dominantą tekstów:

Žitko, moje žitko,

Žieline mi zeszło;

Žodyn tego nie wiy,

Ani nie wypowiy,

Jako mi jest teskno.

Teskno mi jest, teskno

Bez lubego mego.

Bo un się mie wyrzekł,

Nie jest nic dobrego;

O mój Bozie, Bozie...

Część powtórzeń służyło potrzebom muzyki i śpiewu, niektóre pełnią funkcje wierszotwórcze.

Ważnym składnikiem języka poetyckiego analizowanych tekstów jest metaforyczność. Jedną z jej odmian bardzo często stosowaną jest antropomorfizacja. Wynika ona niejednokrotnie z naturalnej więzi człowieka z przyrodą. Góry bywały „wesołe”, „owce robiły swawole”, „gajdy zagrały”, „gronie, nasze gronie, podejcie nóń dłonie”, owce bywały to smutne, to wesołe, a nawet prowadziła

rozmowę z pasterzem:

O mój złoty owczorziczku,
puść że mnie do góry,
najym się tam malinioka,
pieprziny, dóndrawy.

Pół świata se tam łobyndym,
na Beskidek pozdрым
i powrócim napasóno,
a ty mnie dój potым”[7].

Analiza tekstów pieśni zawartych w utworach Łyska wskazuje na ich aspekt pragmatyczny. Takie zabiegi dowodziły mimetyzmu opartego na przeświadczeniu o więzi między sytuacjami zawartymi w utworach, a sytuacjami należącymi do otaczającego świata[8]. Mimetyczny styl pisarstwa cechuje całą twórczość

Łyska. On zdecydował o stworzonej wizji świata, w której znaczącą rolę pełnią zamieszczone pieśni ludowe.



Władysław Skoczylas, Janosik z frajerką, drzeworyt, Muzeum Żup Krakowskich w Wieliczce.

Analiza pieśni zawartych w utworach Łyska wskazuje na oryginalną formę artystyczną utworów przyjmującą kształt „tekstu w tekście”. Pieśni, których jest ponad sto pięćdziesiąt, dowodzą wielkiej pracy etnograficznej, której dokonał autor, by zebrać i opracować te funkcjonujące w tradycji formy kultury wierszowanej.

Przede wszystkim wykorzystał je dla wzmocnienia wydarzeń, wnikliwej charakterystyki środowiska i ukazania egzystencjalnego świata górali Beskidu Śląskiego. Jaki cel mu przyświecał? Proponuję, by przyjąć koncepcję, która potwierdzałaby tezę, że sięgnął do dawnych form kultury, by zrozumieć siebie do końca z oddalenia emigracyjnego. Potwierdza to tezę o takich funkcjach pieśni, które mają ukazać sytuację egzystencjalną ludzi żyjących w określonej społeczności lokalnej. Włączył ludzkie dzieje w mikrostruktury narracyjne powiązane z tańcem i muzyką, tworzące doskonałe systemy synkretyczne. Sytuacyjność pieśni pozwalała zauważyć świat bohaterów, którzy respektowali określone wartości, tworzyli mityczny, sprawiedliwy świat, ale również przeżywali sytuacje religijne, śmierć, miłość, a przede wszystkim realizowali się w zabawie. Pełnia egzystencji nie tyle indywidualnych co zbiorowych znalazła wyraz w zebranych pieśniach.



Władysław Skoczylas, Zbójnik tańczący, drzeworyt, Muzeum Żup Krakowskich w Wieliczce.

Ponadto pieśni spełniają dużą rolę estetyczną, podnosząc poziom artystyczny wypowiedzi literackiej zawartej w interesującej monografii beskidzkiej poprzez metaforyzację, a głównie antropomorfizację przedstawionego świata. Przytoczone pieśni cechują typowe dla form literatury ludowej *incipia* oraz powtórzenia.

Celem głównym, jaki Łysek stawiał przed swoją twórczością, było

kształtowanie poczucia tożsamości etnicznej i realizował go również poprzez zebrane z ogromną gorliwością i znanstwem pieśni wykorzystane w tej oryginalnej i złożonej literaturze.

Pierwsza część artykułu ukazała się w poniedziałek, 28 stycznia 2019 r.

Funkcje pieśni ludowych w utworach Pawła Łyska. Część I.

O Pawle Łysku:

Piewca Beskidu Śląskiego. Paweł Łysek (1914-1978).

Drzeworyty Pawła Stellerera:

Drzeworyty Pawła Stellerera

[1] J. Kolbuszewski, *O twórczości Pawła Łyska*, „Annales Silesiae” volume XVIII 1988, s. 109.

[2] P. Łysek, *Marynka...*s. 102.

[3] P. Łysek, *Twarde żywobycie...*, s. 159.

[4] Por. J. Huizinga, *Zabawa jako źródło kultury*, Warszawa 1990, s. 240.

[5] Por. J. Bartmiński, *Folklor – język, poetyka*, op. cit., s. 12.

[6] J. Bartmiński, op. cit., s. 196.

[7] P. Łysek, *Twarde żywobycie...*op. cit., s. 140.

[8] M. Głowiński, *Świadectwa i style odbioru*, [w:] *Style odbioru*, Kraków 1977, s. 130.